Marek Koszur
Spod orbity (06).

Satelitarne diamenciki i popiołki...

Zaledwie sto kilometrów od Szczecina! Ot, na rzut kamieniem. W Berlinie! Właśnie tam wydarzyła się rzecz, o której politykom się nie śniło. Najbardziej kontrowersyjny mur, jaki wzniosła ręka człowieka zadrżał w podstawach. Ekipy dziennikarskie ponad 50 stacji telewizyjnych z całego świata runęły do Berlina Zachodniego z prędkością fali radiowej i rozpoczęty trwającą do dziś transmisję wydarzeń, które mogą wstrząsnąć światem. Na wielkich platformach i niebotycznych wysięgnikach poustawiano czasze anten satelitarnych, kierując je w niebo do stacji satelitarnych zawieszonych nad równikiem. Ich transpondery przekazywały relacje oraz materiały dziennikarskie przygotowywane przez ekipy, których uzbrojenie techniczne jest większe od tego czym dysponują nasze ośrodki regionalne. Bo ważne jest kto będzie pierwszy tam, gdzie życie rozsadza ramy wyobraźni.
Obserwując pracę kolegów z serwisu "Sky News" czy "SAT 1", ich samochody wytapetowane aparaturą, mercedesy z montażówkami, komputery, teleksy i radiotelefony zobaczyłem mur dzielący nas od telewizji światowej, której egzystencja uzależniona jest od systemów satelitarnych. Ten najlepszy sposób, najszybszy, przekazywania informacji decyduje o kondycji i twarzy poszczególnych sieci telewizyjnych. To zarazem NAJTAŃSZY sposób na robienie nowoczesnej reporterki.

Bo w środkach przekazu takich jak radio i telewizja liczą się nade wszystko szybkość i autentyzm. Tu i teraz. W światowej robocie reporterskiej trwa wyścig z życiem. Bieżnia dla ekip dziennikarskich jest strumień fal radiowych, który odbity od satelity, niczym opadająca pajęczyna okrywają kontynenty.

Ludzie chcą "na żywo" uczestniczyć w sprawach, które mogą zdecydować o niekiedy życiu lub śmierci. Jakże kapitalna to kwestia dla teoretyków i praktyków badających siłę oddziaływania masmediów na świadomość zbiorową i indywidualną. Telewidzowie obserwujący kruszenie berlińskiego muru, czujący niemal na policzkach pył betonu, mrużący oczy przy każdym uderzeniu młotka nie potrzebują komentarza do przekazywanych obrazów. Dla obywateli świata telewizor i transmisja satelitarna to wehikułu czasu i przestrzeni, rydwan, który w jednym okamgnieniu przenosi nas poza wszelkie strefy i bariery. To właśnie jest istota telewizji satelitarnej, która dla znakomitej większości spośród nas kojarzy się z clipami, pornolami, i tasiemcem filmów, w których główny bohater zginął przed napisaniem scenariusza.

W Berlinie zatem tworzy się historia. Niewiele ponad 100 kilometrów od Szczecina. Miasta pozostającego nieustannie w "orbicie" zainteresowań ludzi wyrosłych przed smukłymi kolumnami Reichstagu. W Stettinie więc, jak się tam mówi, każdy oddech podzielonej betonowym murem dawnej stolicy III Rzeszy winien być - to już moje zdanie - odbierany nie przez anteny pana Ziutka, mechanika samochodowego, który z języków obcych zna słowa: dolar, marka oraz mercedes. Niestety, nie umiem Państwu powiedzieć, kiedy najbliższa memu sercu telewizja zacznie nadawać via satelita, swój codzienny program zaczynający się niezmiennie tymi samymi słowami. Wiem natomiast wiele, dlaczego do dziś ta moja faworyta

nie jest w stanie odbierać programów innych stacji. Lecz o tym, może przy innej okazji, kiedy będziemy starzy i nie zawsze z własnej woli wypadniemy z orbity.

Po znajomości - wszak to już bodaj szósty felieton - radzę państwu, że oto głową przebiłem inny mur, ale bardziej stabilny niż berliński. Efektem tej niesłusznie ośmieszanej od lat czynności był reportaż. W kilka godzin po zainicjowaniu "młotkowania" muru berlińskiego, bez urządzeń satelitarnych, bez kilkudziesięcioosobowych ekip telewizyjnych dysponowaliśmy W Szczecinie reportażem własnym, prawdziwym i autentycznym. Zaledwie - podkreślam - w kilka godzin po tym, jak przed Bramą Brandenburską zainstalowali się Amerykanie, "Antene 2" z Francji czy znakomity "Sky News". Jak z kolei do tego doszło opowiem, kiedy będziemy jeszcze starsi, a słowo orbita będzie możliwe do odnalezienia
w słowniku diamencików i popiołków TVP.

Marek Koszur

P.s. O kodowaniu "Astry" pisać więcej nie będę. I wcale nie dlatego, że już boję się wendety ze strony producentów deserowych talerzyków satelitarnych. Po prostu - pożyjemy, zobaczymy!